

Jacek Dobrowolski

A KAPELA KARUZELA

To, że nasi rodacy w przeważającej większości nie potrafią śpiewać i tańczyć jest narodową katastrofą. Dionizos polski to zataczający się pijak, chór fałszujących opojów, dyskoteka w remizie na wsi, pogo i rap w knajackim stylu w mieście.

Patrząc na obraz Axentowicza *Kołomyjka* czy na inne XIX-wieczne malunki przedstawiające oberki i krakowiaki można postawić sobie pytanie: Co się stało z tą energią? Przecież Polska słynęła z tańców. Tańczyli chłopci, tańczyła szlachta. Tańczył Żyd, tańczył mieszczanin. Mazur, polonez, kujawiak, polka tremblanka i galopka. Wesele było weselem. Karnawał karnawałem. Śpiewano przyśpiewki i pieśni żołnierskie, kolędy i pieśni żniwne. Czy ja idealizuję? Chyba nie. Podobnie było w całej Europie zanim cywilizacja przemysłowa „zrobiła swoje”. A teraz? Gdzie się tańczy? Gdzie się śpiewa?

W Macedonii w stodole tańczyłem koło z Macedończykami, Czarnogórcami, Serbami, Grekami i Cyganami, w Rosji korowód „zaplietajsia plietień zaplietajsia”. W Iraklionie na Krecie w buzu-kii „Aretuza” po wspólnym sirtaki musiałem tańczyć solo na stole, a gdy się już wypłatałem z objęć wiwatujących Greków, podszedł do mnie zawodowy tancerz w kreteńskim stroju z dwoma kieliszkami anyżówki i oświadczył, że mogę się u niego uczyć. Szansa na podobne przeżycie w Polsce byłaby żadna gdyby nie Węgajty.

Różnie kapela i Małgosia uczy mnie tańczyć warmińską szotę. Troje skrzypiec, dwa akordeony, dwa klarnety, bęben i cymbały. Prócz podłogi niczego więcej do szczęścia nie potrzeba. Tańczą przybyli tu młodzi Niemcy, Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, Łemkowie i Polacy. Tańczą rolnicy i studenteria, panie i panowie, baby i chłopcy.

Żeby tak rozśpiewać i roztańczyć wszystkie obecne tu „narody i stany” trzeba było lat pracy tropicieli śladów Vincenzowskiej karpackiej Atlantydy, tych sejsmologów nasłuchujących archai-

cznych zaśpiewów, archeologów starożytnej wyobraźni, wreszcie wskrzesiciele cieni zapomnianych przodków.

Trzeba było lat wędrówek po zabitych deskami wsiach i przysiółkach, z pieśnią, kolędą, przyśpiewką, alilujką, od wesela do odpustu, od jednej starej babci do drugiej, w pogodę i w mróz. Lat szperania w archiwach, przepisywania starych śpiewników, nasłuchiwanie ostatnich cymbalistów, kobziarzy i trombitowników. Lat pracy z instrumentem, prób chóru i kapeli, uczenia się kołomyjek z nagrań zanim dostało się pierwszą prawdziwą lekcję od huculskiego skrzypka wirtuoza w rodzinnej wsi Vincenza...

Latem na spotkaniach w Czarnej Dąbrówce na Pomorzu tańczyło się do 9 rano. I śpiewało po łemkowsku: „Oj mama, moja mama lubliu Cygana Jana, oj weru weru deti da jest lubow na sweti”. Były korowody, tańce koliste, galopady parami i wirowania solo. Tańczył kto chciał, jak chciał, z kim chciał, w trampkach, pionierkach, sandałach, na bosaka. Śpiewało się razem i osobno, równo i na przekór, po rosyjsku, ukraińsku, polsku, cygańsku, łemkowsku i żydowsku. Przy śniadaniu, obiedzie, kolacji. W lesie, nad jeziorem, na drodze, w namiocie i w izbie.

Zarówno Oskar Kolberg jak Roderyk Lange stanęliby zadziwieni gdyby dane im było to widzieć. Cóż za materii wielkie pomieszenie. I kto to tańczy? Biali Cyganie? Kresowiaczy z Warszawy? Łemkowie pomorscy? Żyd z Tyrolu śpiewa po polsku a krakowiacy ciągną chasydskie niguny?

A jednak to wszystko ożywia duch wspólnej przestrzeni i pokrewnych sobie melodii i rytmów Wschodniej Europy, która przecież na naszych oczach w tych ostatnich latach budzi się ze snu. Miejmy nadzieję, że nie będzie to przebudzenie się narcyzmów i szowinizmów narodowych a obudzenie wzajemnej ciekawości i pragnienia wspólnoty. Temu służy pieśń węgajcka. Temu służy korowód. „Vivat Europa Orientalis!” — zakrzyknę przekornie w martwym języku Europy Zachodniej. „Hop, hop!” — odpowie mi kapela.